

Krzysztof Olszewski

Tygrys podlaski

*Anielski orszak niech twą duszę przyjmie,
Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba,
A pieśni zbawionych niech ją zaprowadzi,
Aż przed oblicze Boga Najwyższego*

Zabił się? Umyślnie wziął coś, czego nie powinien i umarł we śnie czy zmarł, bo kiedyś brał i wreszcie przyszedł dzień, w którym musiał za to zapłacić czymś innym niż pieniędzmi? Są ludzie, którzy wiedzą, w co się pakują od samego początku. Mają wielki, ale cichy plan. Jedyną ułomnością tego planu jest to, że wymaga czasu, czekania, otwiera furtkę na głupie myśli i wahanie. Człowiek (a myśląc „człowiek”, mam na myśli siebie) może się trzy razy rozmyślić, namyślić, oszaleć i wyzdrowieć, by przy końcu nic już nie wiedzieć i nie chcieć wiedzieć i to by nawet było odpowiednie, ale trochę się czuje, trochę się odczuwa.

Czterech roślących chłopów wynosi z kościoła trumnę z moim... kolegą. Stanisław. Stare imię dla młodego chłopaka. Ludzie wychodzą. Ja za nimi. Pocę się. Upał. Obok mnie idzie Janek,

brat zmarłego, podtrzymywany przez swoją dawną dziewczynę, Patrycję. Jej ojciec – alkoholik. Ojciec Janka i Janek – alkoholicy. Ja – narkoman, alkoholik. Trzeźwy od kilku lat, ale ćpun. Gdzieś mignie mi twarz brata ciotecznego, dalszego kuzyna, wujka, innego kolegi, innej koleżanki. Wabi nas ta słodka, gęsta patologia i wpadamy w nią z własnej woli albo bezwolnie, gdy ktoś decyduje za nas, kiedy my nie chcemy. Czasem bez powodu. Po prostu. Może Stasiak najzwyczajniej w świecie odpuszczył? W jego oczach, kiedy jeszcze żył i kiedy zdarzyło się nam porozmawiać, pohulać po piwnicach, lasach i innych ciemnych miejscach, widziałem ten dziwaczny rodzaj rezygnacji, dumnej z samej siebie, a w moich oczach godnej podziwu. „Wiem, że zdycham, że straceńcy zawsze mnie fascynowali. Odgrywałem gesty bohaterów filmowych, upijających się do nieprzytomności po barach każdego dnia gorzką wódką. Narkomani na granicy wycieńczenia wydawali się aniołami, bynajmniej nie upadłymi, ale atrakcyjnymi, takimi, którymi chciało się być dla samego bycia czy z innych, egoistycznych pobudek. Płeć przeciwna przecież się nimi interesowała. Tak. Wystarczyło sięgnąć po butelkę, by przepiękny film

się urwał. Z ekranu laptopa nie unosił się smród wymiocin.

Przechodząc przez kościół, przyglądam się chłodnym kafelkom, zimnym marmurom, konturom ścian i pęknięciom w drewnianych ławkach. Widzę twarze, mordy, pyski, ryje, maski. Uśmiechają się do mnie, szczerzą, krzywią się, gdy na nie patrzę. Gdyby mój młodzieńczy fanatyzm religijny nie wypalił się po roku intensywnego poszukiwania Boga w ogłuszającej ciszy, uznałbym te przewidzenia za znak od Pana. Teraz zostały mi tylko małe okruchy uszkodzonego mózgowia, produkujące dziwaczność tam, gdzie jej nie ma, wielkie urojenia niestety wyparowały.

Patrycja.

Zdarzyło się w moim życiu tak, że studiowałem. Czytałem, pisałem, uzyskałem stopień naukowy, a potem zacząłem pracować w fabryce okien, bo nieświadomie, później zaś z własnej woli, oszukiwałem samego siebie w sprawie być może najważniejszej: kim jestem? Przestrzelić pięć lat życia z powodu złego wyboru drogi życiowej to jeszcze nic takiego, to nie więzienie. W każdym razie – Freud, Edyp, Jokasta, ojcowie, matki i seks. To mi utkwiło w mózgu, bo lubiłem zwałac winę za swoje niepowodzenia na coś lub na kogoś, byle nie brać winy albo odpowie-

działności na siebie. Najpierw był Bóg, jakby nie było, Ojciec. Potem matka, szalona, histeryczna i tak dalej. Potem ojciec. Flegmatyczny, pozbawiony charakteru, a ja taki sam. Czyli matka nie winna. Później doszedłem do wniosku, że w małżeństwie wina leży zawsze pośrodku, więc zwałem na nich oboje. Dalej – dziadkowie, babcie, pradziadkowie, prababcie i gdy skończył mi się cmentarz, wziąłem się poważnie (no, w miarę poważnie) za to, co zostało – za siebie.

Patrycja.

Własna wola. Tak. Odpowiedzialność indywidualna, nie zbiorowa. Tak. To ja jestem winny? Tak? To ja coś mogę? Tak? I paraliż. Mogę wszystko, więc nic nie mogę. Moja wina, moja wina, moja wina największa. A jeśli jestem bezwolną kukłą, zaplątaną w niemożliwe do zerwania sznureczki instynktów?

Patrycja. Podobała mi się kiedyś. I, co teraz nawet mi wydaje się nieprawdopodobne, ja podobałem się jej. Związek między nami był nie do zawiązania. Nie trzymalibyśmy się siebie. Oczywiście wtedy tego nie wiedziałem i ona chyba też nie. Może miała przeczucia? Spróbowaliśmy przebywać w swoim otoczeniu kilka razy, porozmawiać, pogadać, ale wątek rwał się szybko. Nasze rozmawianie i przebywanie ze sobą nie przynosiło żadnego efektu. Sytuacja była niezręczna, węzełek pociągu fizycznego nie mógł zostać zaciśnięty, może przez nasze niedoświadczenie, może przez nieśmiałość albo poczucie grzechu czy przez inne nieokreślone sprawy, więc rozeszliśmy się i chociaż mieszkaliśmy w tej samej wiosce albo zgrupowaniu wsi, to nie widziałem jej przez kilka lat, aż wreszcie spotkaliśmy się w wiejskiej świetlicy, by uczcić

osiemnaste urodziny Darka, który pewnej nocy utopił się w pewnej rzece pod wpływem pewnej substancji psychoaktywnej i pod wpływem własnej niestabilnej natury. Kazała mu płynąć, więc płynął. Utopiła go. Nie ja. On sam.

Patrycja przyszła ze znajomym ćpurnem, któremu sprzedawałem narkotyki (podobno dobry diler nie bierze swego ścierwa; to nieprawda, zazwyczaj, bo większość chłopaków musi utrzymywać tego małego potworka zwanego uzależnieniem, a najlepiej robić w tym, co się zna i w czym się jest w miarę dobrym (dziwne słowo)) ja byłem lepszy – uzależniłem się, przetrzeźwiałem, wróciłem do nałogu, by wyjść z niego na dobre i skorzystałem ze zdobytej na własnym przykładzie wiedzy, a skorzystałem nieodpowiednio z moralnego punktu widzenia, bo nie żeby wyciągać, ale żeby pograżać, zarabiać; znałem cykl życia narkomana, każdą z jego tożsamości, z jego masek i póź (skruszony synek, zdumiony tym, że może płakać na zawołanie, jeśli tylko mama znajdzie dziwne woreczki w pokoju; córka, która zarzeka się, że pójdzie do ośrodka, by z niego wrócić trzeźwą, grzeczną, religijną i czyściutką, a potem grać po cichaczku aż do kolejnej wtopy, aż się cierpliwość matczyzna wyczerpie, ale kobieta, a zwłaszcza matka, to organizm najpotężniejszy i jej byle co nie położy, ojcowie i faceci kruszeją szybciej i zawsze żałośniej; i tak dalej i tak dalej) na każdym etapie choroby i dzięki temu wiedziałem jak rozmawiać z klientem, nieważne, świeżym czy gnijącym, trzeźwiejącym czy całkowicie wyleczonym. Jej towarzysz niedoli zataczał się od bimbru, a Patrycja prosiła znajomych, żeby przetłumaczyli mu, by więcej nie pił. Rzuciła go. Wróciła. Rzuciła. Znalazła Jarka. Rzuciła. Wróciła. Rzuciła. Wró-

ciła. Teraz idzie obok tego wychudłego chłopaka, jakby jej nigdy nie uderzył.

Myślałem o niej, o kobietach, o mężczyznach, o ludziach. Czemu wybierała takich? Ojciec pił, więc jej idealny chłopak musiał być wysoki, ciemny i ze skłonnością do używek i agresji? To wyjaśnienie, przez rodzicielski klucz genetyczno-wychowawczy, było wystarczające przez pewien czas, ale nie na długo. Odpowiedź nie mogła być aż tak prosta. Może jednak była? Nie wiem. Nadal nie wiem.

Wychodzimy na plac przed kościołem. Ojciec Staśka jest nieobecny. Nie płacze. Ojciec Darka płakał. Brak łez świadczy o sile? O męskości? Wiem, że będę płakał, kiedy będą wrzucać Staśka do dziury. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że młody, w moim wieku, że go znałem lepiej, a może dlatego, że siostra Staśka płacze? Że ludzie płaczą, a ja małpuję? Siostra Darka zemdliała.

– Ty czyj? Syn Adama? – ojciec Staśka podaje mi rękę. Wielka, pokryta grubą, nieczulą na dotyk skórą, jednym wielkim i spękany odciskiem. „Męska” powiedziałaaby Patrycja. Moja dłoń chowa się w jego dłoni. Mocny uścisk, jednak słabszy niż zazwyczaj. Rysio. Pan Ryszard. Chciałbym go w myślach oskarżyć o alkoholizm i nieuwagę, że zmarnował komuś życie, marnując siebie. Chciałbym. Przyganiał młody kocioł przedziurawionemu garnkowi. Nie mam prawa. Lubię pana Ryszarda. To moja wada. Jestem zbyt miły, zbyt wielu ludzi lubię i dlatego większość mną gardzi. I słusznie.

– Tak. Brat Moniki – odpowiadam – Przepraszam.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że pana syn nie żyje – Rysiek prycha.

cd. ze str. 11.

– A co, to twoja wina?

Idę dalej.

Moja wina.

Ściskam płaczącą matkę. Pani Aneta. Mocno mnie przytula. Ściska potężnie, jakby chciała uczepić się czegoś stabilnego. Jestem nie najlepszym wyborem dla takich rozpaczliwych prób łapania równowagi w momentach całkowitego zachwiania równowagi. Jak się składa kondolencje? Nie wiem. Nic nie mówię. Nie muszę. Ona też nic nie mówi.

Idę dalej.

Moja wina.

– Cześć Dawid – i Anka, siostra.

I wszyscy. Chwyta mnie w podobny sposób, rozpaczliwie. Coś chce mi tym powiedzieć. Że nie ma co się obwiniać może? Że my w tym tutaj wszyscy? Może i tak.

Moja wina największa.

Plączę się w jej dredach. Ona chce i zanim łapie się na tym, że może to nieodpowiednie, kicham. Stasiek by się uśmieł.

Wracam do samochodu. Zabieram brata po drodze. Idziemy przez oświetlone lipcowym słońcem błonia. Podlasie jest białe od tego światła jak chłopska płócienna koszula.

– Ja pierdolę. Nie lubię tych gorzkich żali. Masz papierosa?

– No. Proboszcz pierdolił od rzeczy na kazaniu – podaję mu paczkę i zapalniczkę. Wyciąga po nie chudą rękę pokrytą siateczką równoległych blizn. Mam takie same, tylko głębsze. Wujek Jarek powiedział kiedyś, że jesteśmy dyletantami w tej robocie. Wcale nie był lepszy, bo dopiero, kiedy skoczył z dachu szpitala, dokończył swoją robotę na kilkunastu metrach

kwadratowych szpitalnego podwórka. Myślę też i o nim czasem. Traktował mnie jak dorosłego, a nie jak gówniarza z mlekiem pod nosem i bez tożsamości. Nie byłem kolejnym dzieciakiem do pogłaskania po główce, do podania dwudziestu złotych, żeby już się odwalił i poszedł do sklepu po colę, chipsy, piwo albo wódkę. Rozmawiał ze mną, a ja z nim. Rzadko się spotykaliśmy, bardzo rzadko. Trzy czy cztery razy w życiu. Gdy już się spotkaliśmy, rozmawialiśmy i to jeszcze wtedy, gdy miałem problem, by do obcego człowieka otworzyć gębę, żeby powiedzieć „dzień dobry” – o książkach najczęściej rozmawialiśmy. On sprawiał, że mówiłem swobodnie. Pracował w banku, ja byłem zahukanym gimnazjalistą i rozmawiało nam się świetnie. Inteligentny, szczupły i wysoki. Szarmantki. Gdzieś z tyłu mojego mózgu (albo z przodu, nie wiem, gdzie jest centrum pamięci i poleczka z autorytetami do naśladowania) ćmił jako prawdziwa, realna część mnie albo coś, czym chciałem być. Kiedy przemienił się w dżem na asfalcie, poznałem jego „prawdziwszą” historię. On i ciotka Alina mieli problemy. Jeszcze przed udarem i przed wywołaną nim depresją. Nosiliśmy to samo nazwisko, wszechświat napisał nas podobnie, do podobnych rzeczy nas ciągnęło – do zamartwiania się na zapas i na zabój, do popadania w rozpacz z najmniejszego powodu, do niemożliwej do przewyciężenia prokrastynacji, do niemożliwego lenistwa. Brzoza. Proszę bardzo. Polski cyprys w nazwisku. Koniec. Sprawa załatwiona. Każdy Brzozowski zna to przekleństwo. Lenistwo. Miarą życia człowieka jest lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, jeśli jest mocny. Tutaj mocny człowiek, mocny

facet, mocny mężczyzna to człowiek, który robi. Wszystko. Zetnie drzewo lub zasadzi. Będzie miał wielkiego psa, któremu, jeśli zasłuży, da kopa, by później pogłaskać na zgodę. Skosi trawnik, wyrzuci śmieci, odchowuje dzieci, zapewniając trochę grosza, niekoniecznie uwagi (nawet nie wypadła, by się za bardzo nad gówniarznią roztkliwił), pomaluje ściany, wstawi okna i drzwi do chałupy, którą wcześniej własnoręcznie postawił. Poprowadzi konia albo samochód. Naprawi, jeśli się zepsują. Chłop to Bond. Nie Bond to pizda. Bo to najgorsza dla chłopca zniewaga, podejrzenie w jego twardym charakterze jakąś wyrwę, jakąś słabość, jakąś kobiecość, bo kobiecość to słabość oczywiście... Mój dziadek powiedział mojemu ojcu: „Ty pizda, nie chłop”. I ja siebie do tej kategorii bym wrzucił, chociaż zapoznałem się nieco z feminizmem. Idea zdawała się właściwa, słuszna, sprawiedliwa, piękna i wzniosła, normalna, zwyczajna, taka, jaka powinna być. Tylko że nie mogłem jakoś nadpisać pierwotnego zaprogramowania i na jałowej glebie mojego charakteru ta idea nie przyjęła się za dobrze. Chyba usycha we mnie, chociaż nie do końca umarła. Nas tutaj inna idea zżera. Mruć po lasach, czai się po bagnach, drapie korę, ostrzy pazury, czasem ugryzie nieuważnego przechodnia, czasem zabije, czasem nakaże zabijać. Rzadko ucieka, chociaż też podobno jest na wymarcu.

Patrycja. Ja. Może coś jednak wiem. Bezpieczeństwo na pierwszym miejscu? Nie dla nas. Chociaż uważam się za tchórza, ja też lubiłem te momenty, w których się można było, świadomie albo nie, otrzeć o śmierć, umrzeć. Kto wprowadza w siebie setkę nieprzebadaną



grafika: Krzysztof Gregorkiewicz

nej substancji? Idiota, samobójca, znużona gołota z zaścianka zaścianków? Można bawić się bez alkoholu? Można, tylko po co? Życ spokojnie? Komu to potrzebne? Relacja partnerska? Bzdury! Dzień bez kłótni, dzień stracony. Równość sobie należy wywalczyć, wydrapać, wydrzeć, by morda męża była równie obita, jak twarz żony. Na granicy życia i śmierci czuliśmy się żywi, bo żywiliśmy się skrajnymi emocjami, potocznie zwanymi negatywnymi. Na terapii w Choroszczy dowiedziałem się jednak, że życie emocjonalne człowieka nie jest czarno-białe, nie tylko „dobrze” jest bądź „źle”, ale przeróżnie, bo człowiek czuje w ogóle. Różne emocje.

I wszystkie z nich potrzebne. Czy płacz matki po stracie dziecka można zbyć prostym „Nie martw się”? Smutek po takiej wyrwie to rzecz odpowiednia, dobra, z braku lepszego słowa, ludzka. Gniew uzasadniony to zaleta, przywilej, nie przywara. Komuś, kto zawsze był miły, nie chciał zawinić, obrazić, postawić się, wejść w konflikt (ja, mój ojciec) takie idee wydają się bluźnierstwem. Cały światopogląd sypie się w gruzy. To dlatego gnębili nas w szkole? Bo byliśmy łagodni i potulni jak baranki prowadzone na rzeź? Nie mogłem się przekonać do przemocy. Wdałem się kiedyś w bójkę z... kolegą. Miałem wtedy osiemnaście lat, więc byłem

z grubsza ociosany pod względem charakterologicznym i denerwowałem się na to swoje zwapnienie w figurce błaznowatego idioty świadomego swego zidiocenia i ciapowatości. Chciałem się przebić przez ten narzucony sobie samemu wizerunek. Wdałem się w bójkę. Stanęliśmy przed sobą. „Tu ci pasuje?” zapytał. Las, pusto, ciepło, komary i końskie muchy na czole. „Tak” odpowiedziałem i uniosłem ręce. Wtłukł mi. Nie byłem zdolny do zadania drugiemu bólu fizycznego. Dlatego na krótką chwilę zostałem dilerem. Jeden z powodów. By tych wszystkich skurwysynów pociągnąć

cd. na str. 14.

cd. ze str. 13.

na dno podstępem. By mi dziękowali w chwili swojego upodlenia, w chwili opadania na dno. Przestałem, zanim ktokolwiek umarł bezpośrednio przeze mnie. A jednak stoję dzisiaj przy zasypywanym grobie mojego kolegi i zastanawiam się, w jakim stopniu dołożyłem mu do wora, który zawłókl go do jamy. Nie czuję winy. Nic nie czuję? Jestem zły? Nie wiem. Tak mści się człowiek słaby. A człowiek silny? Jak się mści mocarz? Brutalnie? A może wcale? Opuść. Nie rób mu tego. Nie rób tego sobie. To, że popełnił głupstwo, że zrobił ci coś złego albo coś złego o tobie powiedział, nie znaczy, że masz go krzywdzić. Co to da? Co zmieni? Nic. Nakręci sprężynkę, a gdy się sprężynka przekręci, ktoś straci oko. Chyba że sprawisz, by nie mógł oddać tego, co sam dostał. Chcesz zabić? Tylko morderstwo da pewność, że gnojek nie odda. Trupy nie wylażą z grobów. Czy w ten sposób nie myślą psychopaci? Okazuje się, że i mili chłopcy myślą w ten sposób. Jedyna pociecha w tym, że są impotentami i swoich zamiarów nie potrafią wprowadzić w życie. A może są? „Ale przecież to był taki dobry chłopiec”. Wpadłem na inny pomysł. To było takie małe preludium do większego utworu. Utwór nie został ulepiony do końca, bo byłem i chyba już na zawsze pozostanę mężczyzną nieatrakcyjnie niezdecydowanym, bojaźliwym, tchórzliwym, nieaktywnym w każdym milimetrze roztrzęsionego strachem przed odpowiedzialnością organizmu.

Pewnego dnia poszedłem do supermarketu, na dział z bakaliami i kupiłem cztery paczki maku z Czech. Próbowałem w drodze powrotnej sobie to wszystko jakoś wytłumaczyć. Pobit

mnie. Gnój. Cham. Złodziej. Oszust. Narkoman. Leń. Gnida. Kłamca. Kutas. Szmata. Przegryw. Nieudacznik. I tak opisując Grzeška w momencie rozgoryczenia i utraconej publicznie (bo przecież każdy się dowiedział) dumy, opisywałem siebie. Teraz to widzę. Opis zawistnego ćpunka, chcącego się koniecznie odegrać na swoim adwersarzu za nadszarpnięty abstrakt zwany honorem. Adwersarz. Grzesiek. Lubili go. Może właśnie dlatego, że był zaburzony, nieczuły, wrogi, podstępny, że fałszywie się uśmiechał do tych, co to lubili, by ich uśmiechem podstępnym zwodzić? Zaslaniał mnie, był w centrum uwagi, nikt nie patrzył na mnie, więc ja mu pokażę i tak dalej w tym stylu. Ja byłem klaun, ze mnie się śmiano, do mnie się nie uśmiechano. Zraniony klaun nałożył na mordę straszne farby, agresywne prążki i idzie ze słodką trucizną do domu swojego ulubionego kolegi, by wpędzić go w morfinizm. Między chłopcami dochodzi do bójek. Tacy są chłopcy (tak się mówi), a chłopcy muszą się wyszumieć. Pobią się, pogodzą, są najlepszymi przyjaciółmi. Jaki śliczny i niegroźny obrazek. Tak. Wpuścił mnie do swego domu, a ja wszedłem. Był sam. Matka i siostra w Anglii, ojczym w białostockim mieszkaniu, ojciec w szpitalu psychiatrycznym leczony ze stresu pourazowego zdobytego w Afganistanie, czyli ojca też nie ma. Grześ sam i ja sam. Jak w tamtym lasku. Teraz jednak jesteśmy w moim lesie. Gadamy. Między nami dobrze jest. Uśmiecha się. Zawsze na tej jego pryszczatej gębie czał się deprecjonujący wszystko i wszystkich uśmieszek. W tym też był lepszy ode mnie. Bo deprecjonował jawnie i prosto w ryj, ja się uśmiechałem niby pobłaźliwie i głupkowato, chociaż pod spodem też miałem ten grymas, ale bałem się po-

kazać. Więc gram naiwnego przygłupa, nie biorącego do siebie, nie gniewającego się o nic, wybaczącego wszystko każdemu. Gadamy. Proponuję. Nieufny kotek. Namawiam, nęcę, zachwalam. „Jak ja, to i ty”. „Ja trzeźwy, przecież wiesz”. „Wiem i podziwiam nawet, ale...”. Wątpliwości. Tłumaczę, uspokajam. Pyta: „Jak po tym jest?”. Odpowiadam: „Jesteś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, masz wszystkie problemy w chuju i o nic się nie martwisz”. „Dobra”. I już. I to wystarczy. Kilka minut rozpracowywania. Gratuluję sam sobie i sam siebie chwałę za odpowiednie podejście do pacjenta (czy klienta, nigdy nie wiadomo z księdzem, szamanem, psychiatrą i miłym chłopcem) i robię mu gorzką herbatkę z maku jak dobra żona. Biorę plastikową butelkę z zawalonej śmierdzącymi naczyniami kuchni, wysypuję mak do środka, zalewam ciepłą wodą i mieszam spazmatycznie przez piętnaście minut. Przekręcam zakrętkę, nie do końca, naciskam na plastik i przesączam wywar do przezroczystego (no, prawie przezroczystego) kubka, na którego ściankach widnieją ślady kawy. Podaję ukochanemu herbatkę do łóżeczka (leży rozparty na kanapie w samych slipach, lekko zażółconych, ale to nieistotne) i czekam, aż wypije. Pije. Pije wywar z maku w kolorze luźnego stolca (po wypiciu tego draństwa luźnego srania nie uświadczy, nie uświadczy srania w ogóle) i krzywi się. „Gorzkie” mówi, a ja się uśmiecham. Gadamy. Mija dziesięć minut, dwadzieścia. Biegnie do kibla. Wymiotuje. Wraca. Gadamy. Denerwuje się. Uspokajam jak czuły papcio, którego nigdy nie było mu dość, bo go nigdy nie miał przy sobie. A potem dzieje się to, co zawsze się dzieje ze straceńcami od urodzenia. Grzesiu odpływa z Podlasia na jakąś czeską polankę, a może, kto wie, na makowe pola

dalekiego Afganistanu, potworka, który zeżarł duszę jego ojca, a teraz to samo zrobi z duszą synka. Grześ przymyka oczy. Głowa to opada, to podnosi się lekko, by znów opaść. Oddech Grzesia staje się wolniejszy, płytszy, zanika. Może po dałem za dużo, może umrze, może trafię do pierdła. Czy jestem wystarczająco męski? Odegrałem się? „Jest kozacko” mówi Grześ przez nos. Niewprawne ucho usłyszaloby przeziębienie i senność, ja słyszę zgrzyt kotwicy wrzynającej się głęboko w mózg. To będzie mocny związek. Wpłynął kozak na suchego przestwór oceanu. Utopi się w nim, to pewne. Jednak życie przewrotne jest i nieodgadnione. Grześ wyjechał do Anglii w kilka dni po nieudanej egzekucji mojego szatańskiego planu. Nie udało mi się być świadkiem

jego upadku. Plan wykonał się sam na wielkiej emigracji. Grześ poznał kobietę swojego życia, spłodził córkę i przywiązał do hojnej ręki brytyjskiego rządu. Nie wiem, co się z nim dzieje. Może żyje, może umiera. Nie wiem. Żalu nie czuję. Ani wyrzutów sumienia. Czemu? Nie wiem. Czy jestem zły? Czy mam już pazury? Mam kły?

Stoimy w niedalekiej odległości od jamy. Ja i brat. Dochodzi do nas zawodzenie księdza, organisty, kobiet, kilku mężczyzn, bo chłopcy nie płaczą.

– Dobra. Mam dość. Nie mogę tego wytrzymać. Idziemy stąd – mówi mój brat.

– Dobra – mówię i idziemy.

Co teraz? Co mam zrobić dalej? Najpierw godzina odpoczynku w domu, po-

tem dziesięć godzin roboty w fabryce, potem prysznic, potem sen, potem pobudka o dziewiątej, bo wcześniej się nie zwlokę z wyra. Rozprostować gnaty, poszukać powodu do wstania ze spoconej pościeli, wstać. Czykiedy będę miał siedemdziesiąt lat, tak mnie wszystko będzie bolało tylko bardziej? Gdy będę miał osiemdziesiąt lat, będę dawał radę sam wstawać z łóżka? Po co to ciągnąć? Po co to ciągnąć? Żeby matka nie płakała? Muszę znaleźć moje po co?”. Muszę, żeby nie płakała. Jeszcze boję się matki? A ojca? Muszę stąd uciec? Muszę zostać?

Nic nie wiem. Z przyzwyczajenia pożyję sobie do końca. Tak chyba będzie najwłaściwiej. Nikt niczego nie będzie podejrzewał. Tak będzie dobrze. Tak.



KRZYSZTOF OLSZEWSKI

– ur. w 1994 r. w Białymstoku. Student II roku II stopnia filologii polskiej na Uniwersytecie w Białymstoku. Od 2015 r. uczestnik zajęć w Pracowni Literatury Młodzieżowego Domu Kultury.

Debiutował opowiadaniem w nieregularniku filologicznym „Próby” (2016). Autor książki *Z niczego w nic* (2017).

fot. Bogumiła Maleszewska-Orsztol